

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

29

(Ciąg dalszy).

W tej chwili weszła do cukierni modnie ubrana pani. stanęła na chwilę z wahaniem na środku sali i rozglądała się po siedzących, wreszcie podeszła do lady i spytała nieśmiało:

— Czy nie był tu mój mąż?

Subjekci i chłopcy spojrzeli drwiąco na siebie, a jeden ze subjektów:

— Pani zapewne pyta o pana Burnalskiego?... Nie, nie był dotychczas.

— Gdyby przyszedł, proszę mu powiedzieć, że byłem tutaj.

— Jaka godność pani? — i patrzył ostro.

— Jedna pani — mruknęła cicho i szybko odeszła.

Rozległy się śmiechy w cukierni, a subjekt, który z nią rozmawiał, rzekł:

— Czekaliśmy, aby powiedziała: „żona“, byłbym jej dosiósł — zaśmiał się głośno.

Dwaj przylatujący śledzili z wielką uwagą całą tę scenę i Żalecki szepnął:

— A ten subjekt jest robotnikiem, wyzyskiwanym, złe płatnym i przy zdarzonej sposobności pójdzie z nami, w jednym szeregu. Słyszałeś sam i to nie jest wyjątkowa moralność... to są wyrozumiali jeszcze. Widziałem przykrzejsze sceny i wymyślania.

— Cóż mi radzisz? — spytał na pozór obojętnie, ale widać było, że cierpi.

— Żyćcie oddzielnie i etycznie.

— A jeśli... — i urwał nagle.

— Jeśli? — zamyślił się — na twojem miejscu, Stachu, powiedziałbym sobie: każdą rozkosz okupuje się cierpieniem.

— Ba, gdybym tylko sam cierpiał...

— Idź do niej... znajdziecie wyjście godne was, godne sprawy naszej.

— Odstąpię od zasady i wezmę ślub w kościele.

— Bardzo słusznie, najlepsze wyjście... Zamieszkać parafie, jak mówią, co potrwa sześć tygodni, następnie muszą być w twojej galicyjskiej parafii ogłoszone zapowiedzi, a że jesteś pełnoletni, możesz to zrobić. Nie wiem jednak, ile ona ma lat?

— Dwadzieścia jeden.

— Hm... gdyby była tutejszą poddaną, byłaby już pełnoletnia, ale w Galicji staje się nią w dwudziestym czwartym roku. Mówię to, bo mam pewne wątpliwości, czy jej rodzice zgodzą się na jej ślub?

— Czy to, co mówisz, Bolku, wiesz napewno?

— Interesowała mnie ta kwestya, ale poradzić się prawnika... może znajdzie inny sposób.

— Namysle się Bolku... a za radę serdecznie dziękuję. Zawsze co dwie głowy, to nie jedna.

— A tak, co dwa, to nie jeden; zrobisz nowe odkrycie — zaśmiał się. — Jeśli chcesz, przenocuj w naszym górnym pokoju, dam ci klucz od wypadku — wręczył mu — a jutro robota od samego rana.

— Stawię się na nią. Do widzenia.

Żalecki patrzył za nim i twarz jego przybrała wyraz zadowolenia i dumy, bo przecież on również proponował Oldze t. z. „dzikie“ małżeństwo, jak Walczak Helenie i Olga wprost odrzuciła, powodowana nie utylitarne obowiązkiem dla sprawy, ale z głęboko w niej tkwiącego poczucia etyki społecno-towarzystwej. Tak, Olga jest inna, o wiele lepszą i piękniejszą.

I opadła go wielka tęsknota do niej, zapragnął ją zobaczyć, chociażby na jedno mgnienie, usłyszeć tylko dźwięk jej głosu.

Stopniowo czuł powracające siły, otrząsł się z marzenia, zapłacił należność i cały zaprzątnięty Olga, wszedł na Plac Zamkowy, aby na Krakowskim Przedmieściu wsiąść w tramwaj i pojechać w oznaczone miejsce, gdzie o dziesiątej miał spotkać Komara i uwiadomić go o instalacji drukarni.

Już był blisko stacyi tramwajowej, gdy nagle połyssał tak znany i upragniony głos tuż obok siebie.

— Bolku... za mną!

Drgnął, pobladł ze wzruszenia i musiał aż przetrzeć oczy, aby się upewnić, że mijała go tuż Olga.

Posłuszny szedł za nią i dopiero na Bednarskiej ulicy połączyli się ze sobą.

— Załatwiłam ostatnią ekspedycję... jutro jestem już wolna, rozporządzajcie mną, mam czas.

— Widać jednak po was zmęczenie.

— Bo też nabiegałam się dzisiaj, rozdałam siedemset broszur, to nie żarty być w dziesięciu miejscach — i patrząc na niego — ale i wy jak z krzyża zdjęci.

— Znów tak dalece — i w tej chwili wyprostował się i z uśmiechem — mieliśmy trochę pracy ze Stachem... ale drukarnia gotowa i czeka na robotę.

— Co wy mówicie? — przystanęła cała rozpromieniona — więc wasze marzenia, Bolku, spełnione i posuniemy sprawę szybko i energicznie?

— Tak przynajmniej sądzę.

— Zaczynamy tedy jutro, nieprawdaż Bolku? — Po co zwlekać?... Mam dla naszej gazety dwa ciekawe dokumenty, jak mi się zdaje.

— Dokumenty?! Jakże? Mówcie? Nie macie przy sobie?

— Nie przypuszczałam, że was spotkam, byłabym wzięła... Jeden w sprawie unitów...

— Doskonale, wybornie! — zaśmiał się z wielkiego zadowolenia.

— Drugi, okólnik do gubernatorów, aby pismo „Oświaty“ prenumerowały herbaciarnie i restauracje prowincjonalne miejskie i wiejskie.

— I ten dobry... ależ wy, Olgo, jesteście nieocenionym skarbem, nie tylko dla mnie, ale i dla całej partii!

Olga zarumieniła się z radości i mówiła żartobliwie:

— Nie oddam wam, Bolku, tych papierów, póki mnie nie weźmiecie do drukarni.

— A, jak wylazł z was kapitalista i wyzyskiwacz! Wstydzicie się... ładna mi socjalistka!

— Nazywajcie mnie jak chcecie, ale ja chcę, ale ja proszę was, Bolku.

— Idź niewiasto w spokoju, jesteś uzdrowiona! Właśnie sam miałem wam zaproponować, abyście jutro stawili się... tylko kiedy?... Kiedy możecie wyjść niepostrzeżenie, a raczej bez podejrzeń na trzy, cztery godziny?

— Co do moich kłopotów z ciotką, poradzę sobie sama... a mogę wyjść tak o dziesiątej rano, czy dogodna wam pora?

— Czekam was na Podwalu, bliżej Placu Zamkowego. Czy zgoda?

— Będę... a teraz żegnajcie i do widzenia. Ciotka czeka na mnie.

Stosownie do otrzymanego adresu, zadzwonił Bolek do drzwi w kamienicy na trzecim piętrze. Wyszedł do niego młody człowiek i spytał:

— Kto wy?

— Ze szeregu — odpowiedział według wskazówki wiadomej.

— Proszę za mną.

W pierwszym pokójku zastał stół nakryty, oczekujący goście, a kilka pań siedzących załdwie rzuciło okiem na wchodzącego, zajęte rozmową.

Drugi pokój oświetlony był pusy i tu zatrzymał się młodzieniec otworzywszy mu drzwi do trzeciego pokoju, gdzie przy jasnym świetle lampy dostrzegł siedmiu mężczyzn, z których znał bliżej tylko Komara, a trzech innych znał z widzenia, ze wsólnych rozmów o partii.

Prócz jednego, mocno szpakowatego bruneta, inni byli mniej więcej w równym wieku, tak po trzydziestym roku życia. Żalecki był wśród nich najmłodszym.

Komar uściśnął mu rękę, wskazał miejsce i rzekł żartobliwie:

— Słuchajcie Buczku, gdyby tu weszła policja, a wiecie, że nawet prywatne zabawy nie są wolne od wizyt tych panów, wy jesteście tu w interesie fabryki, bo strój wasz nie nadaje się do zabawy towarzyskiej.

Żalecki spojrzął po zebranych, z których każdy był starannie ubrany i bąknął:

— Nie wiedziałem... wracam od pracy.

— Niepotrzebnie się tłumaczycie.

— Jak sprawa z drukarnią? — spytał szpakowaty mężczyzna, trąc krótką strzyżoną brodę.

Żalecki podniósł oczy na mówiącego i pierwszą rzeczą, która go uderzyła, była szeroka blizna przez czoło, kończąca się na prawej brwi. Na razie nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— Jest na dobrej drodze.

— Nie o to was pytam — mówił surowym, trochę chrapliwym głosem — ale rachunki, koszt, wydatki?

Żalecki wyjął notatnik i dyktował cyfry, które jeden z obecnych notował starannie i po skończeniu podał szpakowatemu mężczyźnie.

Ten przejrzał uważnie i zwracając się do Żaleckiego:

— Nie wliczyliście waszych kosztów podróży. Jeśli poświęcacie czas i siły w usługach partii i sami się utrzymujecie, kosztu nadzwyczajne, jak podróże, inne opłaty, ponosi kasa... Zresztą pieniądze wam potrzebny, zwłaszcza teraz w drukarni; rublę ratuje się czasem setki, a nawet wolność ludzi. Ile wyniosły wasze wydatki?

Żalecki wymienił cyfrę.

— Zapiszcie i na dodatki dalsze dodajcie dwadzieścia a pięć rubli... Gdyby wam, Buczku, zabrakło, zgłoszcie się do Komara i otrzymacie.

Wśród chwilowego milczenia jeden z uczestników zebrania, ładny blondyn, z delikatną cerą, zaróżowioną, jak u dziecka, rozwinął rulon papieru rozprostował na stole i rzekł:

— Zbliźcie się, Buczku, i spojrzycie — a gdy ten nachylił się nad planem rozłożonym — to kamienica róg Celnej i Brzozowej — pokazywał — a to wasza izba, czy orientujecie się?

— Widzę i rozumiem.

— Tu kurytarz piwniczny, która z piwnicy wasza?

Żalecki wskazał.

— Jesteście pewni?

— Najzupełniej.

— Otóż ten pas wiśniowy oznacza kanał główny, a ten blade-różowy kanał dawny, zarzucony dzisiaj, lecz niezamurowany przez niedbalstwo, a wylot jest nad Wisłą... Jak widzicie, kanał główny przecina na ukos piwnicę w jednym rogu, pomiędzy okienkiem a ścianą. W ciągu jednego dnia możecie dokopać się do sklepienia kanału, zrobić stosowny otwór i w razie nagłym ujęć niepostrzeżeni. Drzwi od wewnątrz trzeba opatrzyć w szaby żelazne, a otwór róbćie w samym rogu. Zanim dośzu ają się otworn, zasłoniętego naturalnie, możecie być daleko i bezpieczni.

Żalecki był trochę zdziwiony tą nadzwyczajną troskliwością i rzekł z uśmiechem:

— Czy opłaci się tyle zachodu?

— Nietylko zależy nam — przemówił mężczyzna z blizną — na waszem bezpieczeństwie i współpracownikach, ale w przewidywaniu usilnych poszukiwań, rewizji i przesładowań, wam powierzymy ważne papiery i kasę główną do przechowania. Was jedynie nie powinni schwyć, a tylko mnie i Komarowi powiecie o miejscu przechowania.

— Teraz rozumiem — szepnął Żalecki.

— Dlatego towarzyszu Panna — wskazał na blondynę z rulonem papieru — wyd stał plan miejski domu i udzielił wam wskazówek. Na rachunek kosztów, bo potrzebna będzie drabinka, ocembrowanie, ślepe latarnie i t. d., otrzymaliście dwadzieścia pięć rubli. Czy drukarnia gotowa?

— Można już zaczynać.

— Kogo macie do składania?

— Towarzyszka Olga, znana towarzysowi Komarowi i ja. Do maszyny towarzys Stanisław... do roznoszenia, prócz nas, towarzysza Helena.

— Co do ekspedycji pisma otrzymacie wskazówki i towarzyszy... Samo składanie i ułożenie szłoby wam opornie i marnowalibyście dużo czasu, dajemy wam towarzysza Sikorę.

Jeden z uczestników, dość niski blondyn, łysawy, z dużymi wąsami, wstał z krzesła i podał rękę Żaleckiemu:

— Mam czas codziennie od siódmej wieczorem. Przyjdę do was jutro, czekajcie na mnie w mieszkaniu.

— Pytajcie o Jana Pastę — objaśnił Żalecki.

— W tych dniach stróż miejscowy otrzymał mocnka, naszego towarzysza, z tym umówcie się, Buczku — mówił mężczyzna szpakowaty — co do sposobu zawiadomienia nas, gdyby przyszła rewizja żandarmiska. Możecie mu zawierzyć, to pewny towarzysz.

— Zdaje się, towarzyszu Kozaku — odezwał się Komar, patrząc na poprzedniego mówcę — że wyczerpalicie wskazówki co do bezpieczeństwa towarzysza Buczka; chciałbym spytać go o skrypta do gazety? Posyłałście?

— Dziś rano był ktoś i pytał... obiecano na jutro... część pojutrze.

— To będzie kronika bieżąca, ale wstępny musi być z ogniem. Napiszcie, towarzyszu Kozaku?

— Dam towarzysowi Sikorze.

— Do numeru — zaczął Bolek — ktoś mi wręczy jutro dwa tajne rozporządzenia generała gubernatora... Jeden dokument dotyczy unitów... drugi wprowadzenia przymusowego „Oświaty“ do mniejszych jadłodajni prowincjonalnych i herbaciarni ludowych.

Kozak zatarł ręce ze śmiechem:

— Wściekną się... mojem zdaniem wystarczy na numer jeden tajny dokument. Nie idzie nam bowiem w tym razie o przeciwdziałanie, jak raczej